

EDWARD SIKORSKI

Kpr. Edward Sikorski, ur. 21 sierpnia 1917 r., zecer, kawaler.

Po wydostaniu się z niewoli niemieckiej 12 lutego 1940 r. i po otrzymaniu odpowiednich wskazówek od pchor. Józefa Sojki z Czeladzi, z trzema kolegami (Eugeniusz Stolarski, Czesław Krupiński i Kazimierz Kołodziejczyk, wszyscy z Czeladzi) wyjechaliśmy celem udania się do Rumunii. 14 lutego o godz. 23.30 na terenie okupowanym przez Sowieców nad rzeką San k. Przemyśla zostaliśmy zatrzymani przez patrol straży granicznej.

Po sprawdzeniu, czy nie posiadamy broni, kazali nam leżeć na ziemi w śniegu. Ja – leżąc – starałem się niszczyć papierki z zapiskami, co jednak zaobserwował [strażnik] i kopnął mnie silnie w nogę. Po [tym, jak] cały dzień leżeliśmy na śniegu, przyjechali dwaj pogranicznicy na koniach i zabrali nas do placówki. Po dokładnym zrewidowaniu zamknęli nas w pomieszczeniu, gdzie już siedziało trzech innych. Było bardzo zimno, tak że na ścianach były sople lodu. Rano okazało się, że dwóch miało silnie przemrożone nogi.

W południe odwieźli nas do więzienia w Przemyślu. W celi siedziało nas 100–110 osób. Bardzo ciasno, były wypadki, że w nocy nie można było się położyć, tylko trzeba było siedzieć. Mimo że było dużo ludzi chorych, lekarz ani sanitariusze nie przychodzili. Sprawy fizjologiczne odbywały się w celi, naczynia wolno było wynosić tylko raz dziennie (przykryw nie było). Kąpieli nie mieliśmy i zmian bielizny również, tak że po pewnym czasie pojawiły się wszy. Wyżywienie bardzo skromne: na dzień dawali ok. 20 dag chleba i raz zupę, były wypadki, że dolewali do zupy niegotowanej wody.

23 marca wywieźli [mnie] do więzienia w Odessie. W celi siedziało 60 osób – ciasno, ale można było w nocy się położyć (łóżek nie było). W celi 50 proc. [więźniów stanowiły] osoby wyznania mojżeszowego. Przeważnie siedzieli za przekroczenie granicy. Przypominam

sobie następujące nazwiska: [nieczytelne] z Krakowa; Tadeusz Węglarski, uczeń z Krakowa; Józef Wiśniewski; Stanisław Guzik z Warszawy; Czesław Krupiński; Jurkowski z Będzina. Koleżeństwo było dobre. Jeden profesor z Piekar Śląskich dla zabicia czasu zrobił pogadankę na temat przyrody, za co dostał się do karceru i więcej do naszej celi nie wrócił.

Porozumiewanie się między celami odbywało się za pomocą sznurka z ciężarkiem (tzw. koń) lub w ustępie zostawiało się kartki, które były wkładane w tutki od papierosów. Do łaźni chodziliśmy co dziesięć dni, bielizna była brudna. Wiadomości z kraju mieliśmy mało – tylko jeśli nam się udało zabrać gazetę dyżurnemu na korytarzu, a o rodzinach wiadomości nie mieliśmy żadnych.

Przesłuchiwania przez NKWD odbywały się tylko w nocy. U mnie znaleźli kartkę z adresem mojego kuzyna (Henryka Zygierta z Sosnowca), który był w Rumunii, dlatego posądzali mnie, że jestem szpiegiem i wygrazali, że [mnie] zastrzelą, jeśli się nie przyznam. Ostatni raz [NKWD-zista] z pistoletem w ręku dusił mnie, [a] przy wyjściu kopnął.

We wrześniu 1940 r. odczytali mi wyrok: trzy lata pracy w łagrach. Na trzeci dzień po wyroku wyjechałem do Archangielska, następnie przez Morze Białe, przez rzekę Peczorę do Narjan-Maru. Po dwóch tygodniach wyjechaliśmy barkami, a po paru dniach barki zamarzły na rzece. Znajdowało się w nich ok. 1200 ludzi. Życie w barce było straszne – ciasno i duszno, przez mały otwór można było tylko wychodzić do ustępu, gdzie od rana do wieczora, a nawet w nocy trzeba było stać w kolejce. Ludzie zaczęli chorować (przeważnie na żołądki). Lekarzy nie było – tylko Polacy, którzy byli zdrowsi, pomagali. Jedzenia gotowanego nie było, wody gotowanej trudno było dostać, do jedzenia dawali suchary, śledzie i zimną wodę. W barce byliśmy 36 dni, były wypadki śmiertelne. Dalszą drogę do Uś [Ust]-Kozwa przebyliśmy pieszo (ok. 80 km) w grupach po 300 ludzi. Przez trzy dni nie dawali nic do jedzenia, na noc zamykali nas do małych, zakopcanych wiejskich łaźni, tak że nie było miejsca swobodnie stać. W drodze źle ubrani zamarzali. W jednej z grup zamarzło 45 ludzi, w innych po 10–15.

Po tej podróży ludzie byli przeważnie chorzy, pomimo tego bili [nas] i wyrzucali z pałatek (kilku umarło w pałatce). Po paru dniach pracy odwieźli mnie do szpitala, byłem prawie nieprzytomny. W szpitalu bardzo dużo ludzi umierało na tzw. pelagrę. W szpitalu byli: por. lek. Szymborski z Warszawy, Stefan Bakinowski, M. Orędasz, Siekierski. W szpitalu dla Polaków obsługi nie było, lekarstw brakowało. Leżałem tam pięć miesięcy i dwa tygodnie. 1 maja

1941 r. zostałem wypisany i pieszo prowadzili [przez] 30 km 35 ludzi do sowchozu, gdzie pracowałem przeważnie przy karczowaniu lasu. Normy nie pamiętam, bo nigdy normalny człowiek jej nie wykonał. Pracowałem również przy sadzeniu kartofli, kapusty i koszeniu trawy. Pieniędzy nigdy nie płacili.

Zwolniony zostałem 24 września 1941 r. Do wojska nie przyjmowali, więc wysłali nas do kołchozu nad rzekę Amu-darię, 50 km od Morza Kaspijskiego, gdzie na utrzymanie trzeba było pracować przy kopaniu kanałów. W grudniu 1941 r. ruszyliśmy z kołchozów barkami w podróż do wojska. Dużo Polaków nie dojechało, zostali nad brzegiem Amu-darii z wycieńczenia, głodu i zimna. Przebywali ze mną: por. Mańka, pchor. Stefan Bakinowski, wachm. Łobowicz, ogn. Chalejko, wachm. Nowak, inż. Kawecki, Józef Krawczyk, Władysław Kaczorowski. W marcu 1941 r. [1942] przyjechałem na komisję wojskową do Kermine.